

MIŁOŚĆ I SZAŁ

SCENY LIRYCZNE.

PRZEZ

Witolda Jaroszyńskiego.

Przebiegiem Dnia A. b. p. i. d. w. i.
Przebiegiem z. p. i. b. z. T. p. i. e.
przebiegiem w. p. i. e. i. n. k. u.
WARSZAWA. *od Autora.*

W Drukarni Gazety Polskiej.

1868.

MIŁOŚĆ I SZAŁ.

ALFONSO I. REY

MIŁOŚĆ I SZAŁ.

SCENY LIRYCZNE.

PRZEZ

Witolda Jaroszyńskiego.

INSTYTUT
BADAŃ LITERACKICH PAN
BIBLIOTEKA
00-330 Warszawa, ul. Nowy Świat 79
Tel. 26-68-63

WARSZAWA.

W Drukarni GAZETY POLSKIEJ.

1868. ■

ВЫСОКАЯ ЦЕНЗУРА

Дозволено Цензурою.

Варшава 21 Септября 1867 г.

527



OBRAZ I.

Rzecz dzieje się na wsi w majątku Maryi.

OSOBY: MARYA. HENRYK JEJ MĄŻ. ICH DZIECIĘ.
POSTACIE FANTASTYCZNE.

SCENA 1.

Pokój sypialny. Marya przy łóżeczku uspiętego dziecięcia.

MARYA.

Sny moje dziewicze! rozkoszne marzenia!
Czemuście tak nagle, jak mgła się rozwiały?
Dlaczego kwiat opadł, ciernie pozostały,
W nagą rzeczywistość przeszły me rojenia?!
Gdy uczucia pączek rozkwitał wiośniany,
Lubą poił wonią: mnie się w on czas zdało,
Że on się rozwinie w różę wiecznotrwałą,
Że wypielęguję ten mój kwiat kochany!...
I pączek w kwiat rozkwitł, lecz w kwiat jednej doby!
Już po nim!... Zostały wspomnienia i groby!

Miłość i Szal.

1

(Spojrzawszy na dziecię).

Tylko groby? O nie! życie!
Życie nowe, święte, cudne!
Nie pierzchliwe sny ułudne,
I nie pączki na rozkwicie;
Lecz kwiat pełny, wiecznotrwały,
Kwiat miłości śnieżno-biały,
Kwiat rozkoszną tchnący wonią
Zasadzony Boską dłonią!

(klęka przy łóżeczku).

O Matko Boska! przez tych siedem mieczy,
Co przenajświętsze serce Twe przeszły,
Kiedy na krzyżu konał Syn Człowieczy;
Przez Twe łąy święte, które krzyż zrosiły:
Błagam Cię, Matko, módl się za mym synem,
Czuwaj nad mojem dziecięciem jedynem!

Kiedy w młodzieńca urosnie z dziecięcia,
Gdy piersią młodą namiętność owładnie;
Kiedy świat w zwodne porwie go objęcia
I w sieć rozkoszy usidli go zdradnie:
Ty wtedy, Matko, módl się za mym synem,
Czuwaj nad mojem dziecięciem jedynem!

Gdy prądy życia o skałę nim cisną,
Gdy się boleśnie skrwawi pierś młodzieńcza;
Żłowrogie chmury nad czołem zawisną,
Rozpacz ogarnie ponura, szaleńcza:

Ty wtedy, Matko, módl się za mym synem,
Czuwaj nad mojem dziecięciem jedynem!

(wstaje i z miłością wpatruje się w dziecię).

ANIOŁ STRÓŻ (przelatując).

Śpij lube dziecię! Na kwiatkach wiosnianych,
W barwnych obłoczkach niech cię sny kołyszą,
Ku jasnym gwiazdom unoszą;
Niech twa duszyczka w marzeniach świetlanych
Igra, owiana pogodą i ciszą,
I rajskich wrażeń rozkoszą!
I niech ci nigdy namiętności szaty
Nie zwarzą krasę tych cudownych kwieci,
Z obłoczków w chmury nie rzuca!
Niech wśród burzliwój nie zgaśnie nawały
Jasność gwiazd złotych, co dziś dla cię świeci:
Gromy niech ciszy nie skłóca!

CHÓR ZŁYCH DUCHÓW.

Cicho otoczmy dziecinę śpiącą,
Postać uroczą na się przybierzmy,
W marzenia jej się wmieszajmy!
Obudźmy wcześniej namiętność wrzącą,
W struny rozkoszy wcześniej uderzmy,
Nutą szaleństwa zagrajmy!

ANIOŁ STRÓŻ.

Śpij słodko, śpij dziecię!
Śnij gwiazdki i kwiecie,

Bezpieczne od szarów namiętnych i burz!
Ja szaly odegnam,
Ja burze zażegnam,
Ja czuwam nad tobą: ja Anioł twój Stróż!

DZIECIĘ (budząc się).¹

Ach mamó! ach mamó!

MARYA.

Co tobie, kochanie?

DZIECIĘ.

Nie puszczaj go mamó! niech ze mną zostanie!

MARYA.

Kto taki?

DZIECIĘ.

Aniołek był tutaj przez chwilę;
Na skrzydłach srebrzystych, promienny i biały
Wzlatywał nademną, uśmiechał się mile,
A oczy jak gwiazdki dwie złote jaśniały.
Całować go chciałem, objąwszy jak ciebie,
Gdy skrzydła rozwinął i frunął po niebie
I zniknął, i tylko świetlany pas złoty
Rozesłał się, kędy uniosły go loty!

MARYA (całując dziecię).

Mój drogi aniołku, Aniołek twój wróci.
Do innych go teraz Bozia posłał dzieci;
Gdy zaśniesz, on znowu do ciebie przyleci,
By czuwać nad tobą, i już cię nie rzuci.

(Dziecię usypia).

SCENA 2.

(Wchodzi Henryk, ponuro zamyślony—Marya idzie ku niemu).

MARYA.

Henryku mój drogi! tyś tak zamyślony,
Tak ciągle ponury, że z bólem i trwogą
Spozieram na ciebie; a choć walczę skrycie,
Lecz słabną, sił mi brak: bo chmurę złowrogą
Już widzę nad nami! Czyż sercu twój żony
Już ufać przestałeś?... I szczęście, i życie,
O! wszystko dla ciebie z ochotą poświęcę!

(po chwili).

Ach, wróć mi, wróć sobie, dni dawne, piękniejsze,
Miłością promienne, więc szczęściem jaśniejsze!
O! wróć mi me dawne marzenia dziecięce,
Z którymi tak lekko, tak lubo mi było,
Gdy czystą uczucia święciłam ofiarę,
Gdy miałam w niem, dzisiaj straconą już wiarę!...

HENRYK (n. s.).

Ha! Biada mi!

MARYA.

Serce się twoje zmieniło!

(po chwili).

Tyś kłamstwem nikczemnem
Niezdolny się skalać, więc milczysz złowrogo!...
Tyś dobry Henryku! więc z bolem i trwogą
Tak na mnie spoglądasz, bo wiesz, że daremne
Jest moje błaganie, i próżne łzy moje,
I próżne nadzieje!

HENRYK.

Maryo!...

MARYA (przerywając).

O jedno cię proszę: bądź bratem mi tylko!
Tak smutek jak radość ja z tobą podzielę;
Każdą bolu twego boleć będę chwilką,
Każdą twą radością ja się rozweselę!
Sługą będę, siostrą jeśli nie twą żoną,
Zostanę czem zechcesz... boś ty mi jest światem!...

HENRYK.

Przestań, przestań Maryo! mowa twa szalona!

MARYA (łkając).

Henryku! przynajmniej zechciej mi być bratem!

HENRYK (z rozpaczą, do siebie).

Gdzieżeście chwilki moje, złote, jasne, święte!...

Marzenia me urocze!... me drogie!... przeklęte!...

Wyście w istność się mą zlały...

Czyliż wiecznie, żywot cały

Wam poświęcać tylko będę?!

Wiecznież pragnąć, szaleć muszę?!

(po chwili).

Albo szczęście ja posiędę,

Albo szczęścia żądzę skruszę!

MARYA (n. s.).

O biedny on! ale niemniej i jam biedna przecie!

DZIECIĘ (ze snu).

Mamo!...

(Marya biegnie, porywa dziecię i niesie je do Henryka).

MARYA.

Ojcze! uściśnij biedne swoje dziecię!

HENRYK.

Biedne? dlaczego biedne? Dotąd nie jest biednym;

Nie pożąda, nie pragnie, nigdy nie szaleje,

Żyje życiem rośliny, istnieniem bezwiednym,

Lub też igra radośnie gdzieś w Aniołków świecie.

Nie ono więc jest biednym!... Biedny, kto nadzieję

W grobie pochował ciemnym; kto młodzieńczą wiarę
Stracił w odmęcie badań rzeczy niezbadanych;
Kto miłości aż do dna spełnił złotą czarę,
Kto skalał świat swych marzeń przezczystych, świetlanych,
Kto wszystko co dlań drogie, własne serce swoje
Wyrwał z łona z rozpaczą i cisnął o ziemię,
I nogami podeptał!... i w grobu podwoje
Wstąpił żywy, a zbrodnia, jak mogiły brzemie
Pierś mu zgmiotła!...

(z szaleństwem).

Synu mój! niech nigdy uczucie
Serca ci nie poruszy; nigdy wiedzy żądze
Niech mózgu nie zapalą; nigdy lubym dreszczem
Niech ci piersi nie zadryka... chyba gdy pieniądze
Skrycie rachować będziesz, albo sprosne chucie
Zwierzęco zadawalniać. Nigdy słowem wieszczem
Unieść się duszy nie daj w ideału kraje;
Tajniki ksiąg odwiecznych niech nie nęca ciebie;
Niechaj ci herb twój złoty za poezją staje,
Za mądrość — wiara w rasę; na marzeń twych niebie
Niech rubel się unosi, czysty, srebrny, lśniący,
Miłością, niech ci będzie chuci żar palący!...
Wtedy będziesz szczęśliwym!...

MARYA (z przerażeniem).

Niech ci Bóg Wielki straszne bluźnierstwo przebaczy!

(odbiega z dziecieniem, a ułożywszy je w łóżeczku,
klęka przy niem do modlitwy).

ANIOŁ STRÓŻ (przelatując).

Błogosławię ci dziecię! ja czuwam nad tobą!

HENRYK (n. s.).

Tortury, żyć konając, i konać w rozpacz!

MARYA (kreśląc krzyż nad głową dziecięcia).

Stwórca się ulituje nad naszą żalobą!

SCENA 3.

(Gabinet Henryka. Biuro zarzucone księgami. Szafy z książkami. Kilka krzesel. Szezląg. Noc. Henryk wsparty o biurko).

HENRYK.

I cóżem z tej bibuły wydobył zbutwiały?
Nic! nic, okrom rozpacz! Bo spuściznę świętą
Którą mi zostawiła moja matka droga,
Ach! bo wiarę straciłem! Karmiąc się przekłątą
Trującą serce pychą, w myśli rozszałaję
Sądziłem, że świat zbadam, zbadam nawet Boga!
Kroczyłem śmiałym krokiem w ciemnię niezglębioną
I czułem się potężnym! Tam, gdzie słaby kroki,
Tam lotem się wznosiłem w przestrzeń niezmierną,
A biciem serca mierząc mych badań uroki
Czułem się bliskim celu. Gdy się cel oddalał,
Ja lotu przyspieszałem w szalonym pragnieniu...
Już światy mi jaśniały,—lecz Twórca był w cieniu!
Jam cień ten chciał rozproszyc, lecz cień mię okalał

I jam runął o ziemię, nędzniejszy niż wprzódy,
Z zesromoconém czołem, z piersią roztrzaskaną,
Z straszną ciemnością w duchu! Tak tytanów trudy
I duma ich zuchwała była ukarana!

(po chwili):

Ale wonczas kochałem! Całą siłę duszy
Utopiłem w świętego uczucia rozkoszy,
I badać zapomniałem, bo uczucie płoszy
Straszne widma zwątpienia, i zwalcza, i kruszy
Wszelką ludzką niewiarę! Promieniem wiosennym
Miłość ta mi ogrzała pierś zlodowaciałą;
Nadzieja w nią wstąpiła po czarnem zwątpieniu,
I wiara ogarnęła duszę odmłodniałą,
I czułem się szczęśliwym w tym mym świecie sennym!
Miłowałem świat cały w błogiem upojeniu!

(smutno):

Są kwiatki na łez padół z rajy przesadzone,
Których tknąć nam niewolno świętokradzką dłonią;
Napawają nam piersi balsamiczną wonią,
Ale więdną i nikną dotknięciem skażone!
Pókim czcił ją modlitwą, pieśnią i marzeniem,
Kościół duszy mej jaśniał glorią blasków świętą!
Ołtarz, ona zdobyła czysta, z-anielona!
Lecz kiedym raz myśl powziął ze zmysłów poczętą
Swoj los z jej losem złączyć, istnienie z istnieniem:
Mój kościół chwiać się począł... runął gdym rzekł: „żona!”

(z szyderstwem):

Dziś mam żonę! mam żonę! szczęśny-m co się zowie!
Jest komu o apetyt spytać mię i zdrowie;
Jest komu o herbacie myśleć i obiedzie,
Przyjąć gościa uprzejmie gdy go Bóg przywiedzie;
Jest z kim gwarzyć o dziecku, sąsiadach, pogodzie,
Błogo! jak w Hesperyjskim mytycznym ogrodzie!

(wskazując piersi):

Lecz tu mi, tu w piersi, tak duszno, tak ciasno,
Tak smętnie, ponuro, jak w grobie!
Runęły ołtarze świętych ideały
I młode natchnienie w żalobie!
Obrzydło mi życie! ach, bo jego droga
To pasmo boleści, zawodów bez końca!
Ja brnąć po niej muszę, bez celu, samotny!
A choć w niebo codzien ślę mój skargi gońca,
Skarga snadź szalona nie sięga do Boga!
Więc rozpaczą zdjęty, klnę swój byt sromotny!
Może ja bluźnię?!... lecz straszne męczeństwo
Cierpię w tej walce zwątpiałego ducha!
I dzika jakaś wściekłość w piersi bucha,
Sumienie mdleje, owłada szaleństwo!

(rzuca się na stojący opodal szeszląg):

Sen! sen!... jedyne mąk to ukojenie!
Czemuż i ten mię opuszcza?!
Szczęśliwsza stokroć ta tłuszcza
Bezwiedna, głupia! nie wie co cierpienie,

Co walka ducha: jé i śpi do woli,
I nic ją nigdy prócz ciała nie boli!

Ach! ach! niegdys ze wzgardą na tych spoglądałem,
Co im tytuł, herb, pałac, szczęścia ideałem;
Życiem — życie salonów; dla których kobieta
To tylko spekulacya, lub chuci podnieta;
Cnota — maska; gardzący ponętą mamony
I frymarkiem honoru — głupi lub szalony;
A dziś... próżni uczucia, oni choć sen mają,
A ja nawet snu nie znam! Dziś więc im zazdroszczę,
Zazdroszczę im tej chwili, w której usypiają;
Zazdroszczę braku czucia!... bo się czuciem chłoszczę
Jak barbarzyński fakir, jak derwisz żałobny!
Dlaczegożem ja do nich tak nic nie podobny?!

(wyjmuje z pugilaresu papierek zwinięty, zeń zsypuje
proszek na język, i polyka):

Ten proszek, zbawczy proszek, on mi snu da nieco!
Ze snem i zapomnienie na chwilkę nadchodzi
I pierzcha myśl trująca... i marzenia lecą,
I pierś się rzeźwiejszego czucia wiewem chłodzi!...

(usypia).

SCENA 4.

(Henryk uspio).

HENRYK (przez sen):

O jak ona piękna! w ręku lutnia złota,
W licach jéj natchnienie!...

POEZJA.

Wzleć Henryku do mnie, ja wśród walk żywota
 Dam ci odpocznienie!
Patrz, śnieżne me skrzydła: nad chmury, nad mroki
 Uniosę cię niemi!
Zapomnisz, owiany mojemu uroki,
 Żeś ty synem ziemi!
W światów ci nieznanych uniosę krainy,
 Gdzie tak lekko, błogo!
Chwileczką nam spłyną długich lat godziny,
 Pomkniemy gwiazd drogą!

WIEDZA.

Po nad poziomych unoszę się głowy
Wolna, potężna, nieskalana, czysta!
Gdy z śmiertelników umiuję kogo,
Wtedy dla niego wszelka przestrzeń mglista
Jasną się staje: wtedy mu okowy
Ziemijskich słabości ciężyc już nie mogą!

Lecz nie łatwy ku mnie lot,
Bo na drodze trud i znój;
Ciemnej chmury ciężki grot
I niewiary duchów rój!
Kto zwyciężką wzniołszy skroń
Śmiało w jasny wkroczy świat:
Temu białą podam dłoń,
Śnieżnych mych użyczę szat,

Po nad tłuszczy wzniosę gniew,
Wleję w mózg jasności zdrój,
Rzucę w duszę prawdy siew:
Ten, na wieki będzie mój!

DUMA.

Synu prochu! drzemiesz wiecznie
Wątły, nędzny w swych zachceniach!
Pragniesz?— skonasz w swych pragnieniach!
Iść zażadasz?— pójdiesz wstecznie!
Padniesz zawsze, boś syn ziemi
Nędzny, słaby! Ja-ć użyczę
Swoich skrzydeł: wznies się niemi
Po nad tłumy niewolnicze!
Patrz jak błyszczy ma korona,
Jak purpura ma jaśnieje!
Wznies się! podam ci ramiona,
W czyny wcielę twe nadzieje,
W jawy zmienię mary twoje!

HENRYK (przez sen):

Świata obszary,
Głębiny ziemi,
Olimp, Tartary,
Myślami swemi
Już przeniknąłem!
Ludzkości dzieje,
Wieków koleje
Mózgiem objąłem!

Po nad tłum głupi,
Bezmyślny, trupi
Wznoszę się dumny,
Silny, rozumny!

MIŁOŚĆ.

W wieniec róży przystrojona
Wiecznie młoda moja skroń;
Rozkosz bije z mego łona,
W mych objęciach szczęścia toń!
Pocałunkiem ust upoję,
Stopię głazy oczu skra;
Jako wulkan serce moje,
Falaławy piersi drzą!
Tam sieroctwo zkąd odleczę,
Znika wszelki życia czar;
A gdzie płomień swój rozniecę,
Radość, błogość tam bez miar!
Do mnie! do mnie! pójdź ochoczy!
Na me piersi głowę schyl!
A raj duszę ci otoczy,
Stracisz pamięć ziemskich chwil!

HENRYK (przez sen):

Wróc mi! wróc stracony raj,
Zapomnienie cierpień daj!

MIŁOŚĆ LUDZKOŚCI.

Na mojem czole wieniec lilił biały,
W oczach mych niebios błękity;
W moich objęciach świat ogarnę cały,
Z przepaści dźwignę na szczyty!
Pójdź! Kalwaryjską powiodę cię drogą,
Krzyż na ramiona ci włożę;
Lecz dam ci w bólu rozkosz czystą, błogą,
Czynom twym znamię dam Boże!
Kochać nauczę, lecz duchem, nie ciałem,
Kochać, jak święci niebianie:
Bo ukochania twego ideałem
Szczęście ludzkości się stanie!

HENRYK (przez sen):

Zstap ku mnie przezczysty Aniele,
Pierś skrzepłą rozgrzej twém tchnieniem;
Wznieć iskrę w ostygłym już serca popiele
Cudownym swym, jasnym promieniem!

(Cicho wchodzi Marya, a przystąpiwszy do uspięnego
Henryka, kładzie dłoń na jego skroni).

MARYA.

Boże! on chory!... jak pulsują skronie!
Pała oblicze!

HENRYK (przez sen).

Święta zstępuj! czar w mém czuję łonie!
Rajskie słodycze!

(przebudza się, a błędnym wzrokiem spotykając
Maryą, mówi z niechęcią):

Ach! to ty Maryo? W jakiej-ż ważnej sprawie
Tak późno u mnie?...

MARYA (przerywając):

Czyś chory, Henryku?
Śnileś w gorączce.

HENRYK.

Bo myśli bez liku
Krażą po mózgu we śnie i na jawie;
A każdą myśl tę ażeby w czyn wcielić,
To walka ducha nie do opisania:
Bo walka pragnień szalonych z sumieniem,
Słabości, z dumą pracą do wytrwania!

MARYA.

Cierpisz, Henryku! pragnę się podzielić
I myślą twoją i twojem cierpieniem.

HENRYK (porywczo).

Ty dzielić się pragniesz? czy pragniesz koniecznie?
Czy sądzisz, że podział ulgę wnet mi sprawi?
Czy sądzisz, że dla cię dzielić się bezpiecznie
Tą czarą zatrutą? Czyż podział nas zbawi?

Miłość i Szal.

2

MARYA.

Nie pojmuję!

HENRYK.

Tém lepiej! Pragnę najgoręcej
 Żebyś mię Maryo nigdy, nigdy nie pojęła!
 I nie staraj się pojąć, bobyś mię przekłęła...
 Mnie, i dolę swą własną!...

MARYA.

Więc pragnę tém więcéj
 Pojąć ciebie, Henryku. Nie bój się przekleństwa:
 Przeklinać ja nie umiem, ani się męczeństwa
 Nie ulęknę, gdy ono przypadnie mi w dziele;
 Bo życie jest to znojna droga z krwawych cierni,
 Po którój dążąc cicho, spokojnie, wytrwale,
 Przez męczarnie do szczęścia idą Bogu wierni!

(po chwili).

Nie ludźmy sami siebie, ni się poniżajmy
 Komedya nas niegodną! Jeśli nie miłości,
 To szacunku przynajmniej sobie dłoń podajmy,
 Szacunku i serdecznej bratniej życzliwości!

HENRYK.

Do czego zmierzasz, Maryo?

MARYA.

Do wypowiedzenia

Jasno tego, Henryku, co tobie samemu
Trudno wypowiedzieć, bo się lękasz może
Tęm zranic mię boleśnie. Wiedz, że niewieściemu
Sercu, gdy ono kocha, przychodzą natchnienia
Od Anioła przecucia! On wyroki Boże
Ogłasza nam niekiedy; a gdy w smutnej dobie
Zwiasztuje ciężki zawód, co nam duszę łamie,
To razem tóż litośnie podaje swe ramie,
By nas dźwignąć i wesprzeć: wtedy, choć w żałobie,
Silne, zbrojne stawiamy losom czoło śmieie,
A tarczą naszą wiara i miłości wiele!

Z tą wiarą i miłością przychodę do ciebie:
Posłuchaj mię, Henryku! Wiem jak cierpisz srodze!
Złote sny twój młodości pierzchły nieziszczone,
Fantazją ukróciły obowiązku wodze,
Na gwiazdzistém uroczych ideałów niebie
Pustka straszna, bo wszystkie w grobie już złożone!
Dziś czujesz się przykutym do żony i dziecka,
Jak więzien do łańcucha; ciężą ci te pęta;
Ale nie śmiesz je zerwać, bo dziś cię krępuje
Przed Bogiem uczyniona mi przysięga święta!
Z honorem i sumieniem walczy myśl zdradziecka,
Choć zwycięża sumienie, lecz zwycięztwo truje!
Trawisz się wśród cichego domowego świata,
Bo nie dla ciebie dzisiaj ognisko rodzinne,

Nie dla ciebie pieśczoła kochającej żony,
Nie dla cię twego dziecka zabawy niewinnej;
Bo gdzieindziej, Henryku myśl twoja ulata,
Innych uciech, rozkoszy duch twój dziś spragniony.

Idźże gdzie cię unoszą skrzydła bujnych marzeń,

Odśwież umysł i serce w świecie nowych wrażeń!

Idź śmiało, mój Henryku, niech cię głos sumienia

Nie wstrzymuje tu dłużej; bo cię żona własna

Prosi o to, i błaga: idź, a niech ci jasna

Gwiazda szczęścia przyświeca!—to moje życzenie!

A jeśli świat cię zrani, jeśli ci odpłaci

Zdradą za twoją miłość; jeżeli chłód ludzi

Gorzka łzę ci wycisnie i wiarę ostudzi;

Jeżeli się samotnym uczujesz wśród braci

I ostry grot zawodu pierś twoją rozkrwawi;

Przyjaciel cię opuści, ominą nadzieje;

Gdy okiem zażawionem potoczysz wkrag siebie,

Ujrzysz pustkę, i męztwo się twoje zachwieje:

Natenczas o rodzinnej tej wspomnij przystani,

Wróć pod strzechę domową w bolesnej potrzebie,

A wróć śmiało, Henryku! Zbolały, zraniony,

Rozbitek w pośród życia burzliwych kolei:

Tu ogrzejesz pierś skrzeplą, zaczerpniesz nadziei,

I znajdziesz dawną miłość w sercu twojej żony.

Żegnam cię; niechaj Aniol Stróż na twojej drodze

Usuwa cierń zawodu!... O, bo rani srodze!

(zakrywa oczy chustką i wychodzi).

OBRAZ II.

Rzecz dzieje się w Warszawie.

OSOBY: HELENA. ARTUR (jój mąż). DOKTOR. JAN (stary sługa).

SCENA I.

(Salon gustownie umeblowany. Helena nawpół leży na kanapie.
Artur rozparty w opodal stojącym fotelu).

ARTUR.

Vous n'êtes pas de bonne humeur, ma piękna Heleno;
Może to bal wczorajszy, co miał udarować
Milemi wrażeniami, darzy cię migreną;
Du reste, wiedz moja droga, niekiedy chorować
Naprzykład na migrenę, bicie serca, nerwy
Cela convient; to się zgadza z tonem salonowym
D'une dame wielkiego świata: to dodaje werwy
Jak pikle przy pieczystem.

HELENA (z ironią).

Stylem doborowym
Dziś robisz porównania, a domysły twoje
Tak trafne, tak głębokie, że aż się buduję

Dowcipem przyrodzonym, który ciebie czyni
Tak bardzo pożądanym wszędzie, gdzie się snuje
Wasz tłum ten salonowy; gdzie dandysów roje
Emablują z lornetą...

ARTUR (przerywając).

O, moja bogini,
Ma déesse się jak widzę, na mnie obraziła.
Cela ne va pas; bo za cóż? za żarcik niewinny?!
Oh, *ma parole d'honneur*, jakes mi jest miła
Nie chciałem *vous offenser!*

HELENA.

Nadtoś miodopłynny...
Ale... ale... wszak Alfred ciebie oczekuje
Z modnym jakimś śniadankiem; wkrótce jedenasta:
Czy tam się nie udajesz?

ARTUR (patrząc na zegarek).

Ach, głowo ma z ciasta!
Je retarderai d'une heure! To mi szyki psuje
Na cały dzień dzisiejszy!

HELENA.

Więc się śpieszyć radzę.

ARTUR (zabierając się ku wychodowi).

Eh bien donc, au revoir; wszak dziś się spotkamy
Na wieczorze u księcia; wcześniej się zaczyna
Assemblée, car à neuf heures: miej to na uwadze.

HELENA (niecierpliwie).

Dobrze, dobrze; lecz idź już: spóźniona godzina.

(Artur podawszy elegancko rękę Helenie, wychodzi).

HELENA (załamując ręce).

Być na wieki przykutą do trupa żywego,
Brylantowemi pęty dumnie trząść w salonie;
Jak lalka się obracać gdzie wiatr mody wieje,
Uśmiechem darzyć motłoch, choć burza wre w łonie,
I gnić jeszcze za życia wśród świata zgniłego —
Niedoznawszy uczucia, grzebiąc i nadzieje:
O! cóż się z tą katuszą porównać jest w stanie!
I na toż na świat przyszląm, by matka mię, dziecię,
Sprzedała?!... Tak, sprzedała! bo mię, wówczas dziecko,
Omamiwszy pozycją, którą zajmę w świecie,
Strojem, którym prześcignę inne wielkie panie,
Pałacem, zabawami łudzząc mię zdradziecko,
Zmusiła do oddania ręki mój, ach... temu...
Temu,... nie mam dla niego tytułu godnego,
Którymbym go zdołała uczcić należycie!!..

Ach, ja go nienawidzę! uczucia dlań mego
Nie mogę wypowiedzieć!... Temu zbutwialemu
Ślizgawcowi salonów oddać całe życie?!

O nigdy! nigdy!... Męki!... Ja stargam te pęta,
Te kajdany, co ogniem mego wstydu świecą,
Co hańbią i sromocą zacną pierś kobiecą!...
O! ta chwila przysięgi, ta chwila przekłeta!...

(po chwili).

Ja nim gardzę! niecierpię! Ja tak się nim brzydzę
Jak padalcem obrzydłym wijącym się w błocie!
Stargam pęta!... Opinia?... Ja z opinii szydzę,
Bo ja dziś sobą gardzę! bo gniję w sromocie!

(zrywa z siebie klejnoty i ciska niemi o ziemię).

Precz, to złoto salonów! precz! to jego dary!
Ono brudzi mię, kala! Precz, pańskie ofiary!

(po chwili).

Powietrze tego domu truje mię, zabija!
Odjadę ztąd, i zwalczę raz mój los straszliwy!
Odjadę? gdzież odjadę? Gdzież ja się podzieję?
Świat modny mnie się wyprze, wzgardzi świat uczciwy,
A niejedna dewotka ukąsi jak żmija!
A on? mąż mój? co powie?... On się roześmieje
I żony swęj wspomnienie utopi w szampanie,
W gronie modnych przyjaciół; i dowcipne słowo
Wśród hucznego wiwatu po francuzku rzuci,
I da nurka w kałużę swą wielkoświatową;
I błotem na mnie cisną salonowe panie,
On sam nawet: on błoto,—błotem mię obrzuci!

(1 o chwili zamyslenia się):

Więc cóż? czyż mam się wahać?! Dla opinii świata
Mam poświęcać cześć moję?! Katować uczucie?!
Poniżeniem okropném opinię oplacać,
I zostać tu, by jego zaspakajać chucie?!

(gwałtownie):

O! wolę, stokroć wolę, by klasztorna krata
Dzieliła mię od ludzi, niżli tak się zbłacać!

(wchodzi Doktor).

SCENA 2.

DOKTOR (całując Helenę w rękę).

U drzwi pani słyszałem jęk strasznej rozpaczey:
Zgrzeszyłem niedyskrecyą; ale może pani
Na dobre ma ciekawość tym razem wyjść może:
Lekarze czasem w porę, choć i nie wezwani.
Niechże mi pani szczerze odpowiedzieć raczy
Na kwestye, jakie pragnąc jęj dobra, założę;
Wprawdzie obrazić panią natręctwem się boję,
Ale stary przyjaciel, winnym się tu czuję
Podać ci dłoń pomocy, kiedy ciebie widzę
Po nad brzegiem przepaści; ja chorych kuruję,
A pani jesteś chora:—chore zdania twoje.
Słyszałem twe wyrazy: „ja z opinii sz zdę.”

Szydzić nam z niej nie wolno, bo częstokroć ona
Bywa prawdy wyrazem; a więc rozróżniamy
Opinię ludzi zacnych od wrzasków gawiedzi;
Idźmy prosto, a wtedy na wrzask nie zważajmy:
Czyśmy zacnie, a gawiedź umilknie szalona.
Gdzie zacna, prosta droga:—rozum nas uprzedzi.
Powiadasz:—„stargam pęta.”— Ja ci się nie dziwię
I wstrzymywać nie myślę targającej ręki;
Lecz jakże poczniesz sobie? jakie są twe plany?

HELENA.

Separacya, bo dłużej już nie zniosę męki!
Bo ja wzdargę dla męża w swojej piersi żywię!

(błagalnie składając ręce):

Ach, pomóż mi! o pomóż, Doktorze kochany!

DOKTOR (ze wzruszeniem).

Uspokój mi się pani, wszystkiemu zaradzę;
Lecz przekonam się wprzód czyli patrzysz jasno,
Czyś się zastanowiła nad pozycją własną,
Czy też polegać można na twojej odwadze?
Odwagi trzeba wiele; pomnij, rzecz mozolna
Zbratać się z twardą nędzą, z trudem w czoła pocie,
Przepędziwszy swe życie w rozkoszy i złocie.
Pani swego nic nie masz: czyś pracować zdolna?

HELENA.

Sama duma mi moja wynieść ztąd zabroni
Choćby szmat starej sukni wziętej z jego dłoni!

DOKTOR.

Wierzę, wierzę ci pani; lecz cóż poczniesz przecie?
Ty nic nie masz, a życie wymaga pieniędzy.

HELENA.

Alboż tak trudno radę dać sobie na świecie?

DOKTOR.

Więc jakąż znajdziesz radę, by uniknąć nędzy?

HELENA (po chwili namysłu).

Jaką?... nauczycielskiej poszukam posady.

DOKTOR.

Nauczycielskiej? dobrze: zawód to szanowny;
Lecz czy sądzisz że łatwy, że w nim wytrwać zdołasz?
Znieść potrafisz kapryśów i wymagań krocie?
Czy każde poniżenie w głębi serca schowasz?
Nie oburzysz się nigdy? Wiedz, że pan herbowny
Oburzenia nie znosi; on, wsparty na złocie,
Dumnie na ciebie spojrzy, i rzeknie: „Asani
Niekontenta, więc żegnam.” I cóż wtedy, pani?!

HELENA.

Z przerażającej strony świat widzisz, Doktorze!

DOKTOR.

O, nie; ja nań ze strony patrzę rzeczywistęj.

HELENA.

Twym obrazem jednakże wcale się nie trwożę;
Nie lękam się bynajmniej mej przyszłości mglistej,
Bo terazniejszość moja stokroć jest straszliwsza.

DOKTOR.

Więc sądzisz, że w obranym przez ciebie zawodzie
Przetrawsz tysiąc poniżeń i będziesz szczęśliwszą?

HELENA.

Będę szczęśliwszą nawet o chłodzie i głodzie!

DOKTOR.

Jeszcze jedno pytanie dać ci mam ochotę:
Opuszczasz świat ci znany, próżny i złośliwy,
W którym mąż twój przyjaciół i krewnych posiada;
Ten świat się zemścić zdolny w sposób zbyt dotkliwy:
Cóż powiesz, gdy na ciebie on rzuci sromotę?
Świat ten, jak wiesz, językiem i pieniędzmi włada.

HELENA (z godnością).

Potwarz na mnie rzucona dotknąć mię nie zdola;
Choć w nędzy, lecz potwarzę dumnym okiem zmierzę:
Za broń mi moje starczy jasność mego czoła!

DOKTOR (podając jej rękę).

Życzę z serca ci wytrwać, i że wytrwasz, wierzę.

HELENA.

Za słowo twe pocziwe, dzięki ci serdeczne:
Ono daje mi siły do walki konieczne.

DOKTOR (podając jój owinięty w papier rulon).
Przyjm to pani, ten zasilek z przyjacielskiej dłoni!
To nie jest darowizna, to pożyczka bratnia;
Oddasz kiedyś, lecz siebie nie skrzywdzę, Bóg świadek!
Kassa z recept powstała dziś jeszcze dostatnia;
Ciebie zaś to od troski o jutro ochroni!...

(z silném wzruszeniem):

Nie gardź! lepiej mieć zapas na wszelki przypadek!

HELENA (wybuchając płaczem).

Dzięki! dzięki!

DOKTOR (po chwili).

Odjadę i wnet konie moje
Przyślę na twe rozkazy; zawiodą cię one
Do nowego mieszkania, które tymczasowo
Sam dla pani wynajmę. W Bogu masz obronę,
Śmiało więc wkraczaj w życia nowego podwoje.
Chcesz pracy,—i tę wkrótce mieć będziesz gotową.
Dziś się niczem nie kłopotcz: wszystko na mej głowie.
Co do męża twojego, to z nim się rozmówię
Nie odkładając wcale; dziś tu będę jeszcze
I powody twojego odjazdu obwieszczę.

SCENA 3.

(Wchodzą Artur i hr. Alfred).

ARTUR (spostrzegając rozrzucone klejnoty).

Jak widzę, moja pani dziś w nerwowym stanie!
Ma foi, je n'y comprend rien! Hej Janie! hola!
Prędnij stary marudo!

JAN (wchodząc):

Słucham, Jaśnie panie!

ARTUR (wskazując na klejnoty).

Co to jest?

JAN.

Taka była Jaśnie pani wola.

ARTUR.

Gdzież pani?

JAN.

Wyjechała w powozie Doktora.

HR. ALFRED (szyderczo).

Dobry znak, wyzdrowieje, gdy na nerwy chora.

ARTUR.

Gdzież ruszyła?

JAN.

Ja nic nie wiem, proszę Jaśnie pana,
Pan Doktor musi wiedzieć; mówiła: „do widzenia!”
Więc od niego najlepiej żądać objaśnienia.

ARTUR.

A tobie, czy mówiła co?

JAN.

Łzami zalana:
„Bądź zdrow!”—rzekła—a ja się tak płaczem zaniosłem,
Żem nic więcej nie słyszał!

ARTUR.

Gadajże z tym osłem!
Idź precz!

JAN (n. s.).

Pójdę, ty pudlu, pięknie fryzowany,
Wkrótce pójda od ciebie i Pawły i Jany!
(wychodzi).

ARTUR.

Jakże ci się podoba hrabio, facecyjka?

HR. ALFRED.

Une petite amourette; un rien: dziecinnada.

ARTUR.

Wyznaję, że niemila wcale historyjka.

HR. ALFRED.

Co?... tak cię to obeszło? *fi donc*,— niewypada
Qu'un homme bien élevé miał się troszczyć tyle
O jedną kobiecinę: wszakże ich tak wiele!

ARTUR.

Jednak to moja żona?

HR. ALFRED.

Cóż ztąd? miłsze chwile
Będziesz spędzał z innymi.

JAN (podśluchojąc za drzwiami):

Tfu, jak djabeł miele!
Aż wędną uszy pocziwego czleka!
Trzeba ztąd zmykać! dalibóg że trzeba!...
Wszystkie te Niemcy, to rodem gdzieś z piekła!
Niech mi choć złote góry tu przysciele,
Nie będę więcej jadł u niego chleba!

DOKTOR (wehódząc do przedpokoju):

Co robisz, Janie?!

JAN:

Nic: słucham...

DOKTOR.

A po co?

JAN.

Bo tam o pani mój Niemcy szwargocą:
Panią ich język przeklęty obrabia!

DOKTOR.

Cóż to za Niemcy?

JAN.

A mój pan i hrabia!
Ot, jak się śmieją! Skarz ich mocny Boże!

DOKTOR.

Puśćże mnie do nich, a zapłaczą może!
(wchodzi do salonu).

ARTUR (do wchodzącego Doktora).

A! pan konsyliarz! *charmé!*

HR. ALFRED.

Buon giorno!

DOKTOR.

Witam.

ARTUR.

W sam czas tu trafiasz konsyliarzu.
Właśniem miał z prośbą ślać do cię pokorną,
Byś mię oświecił, gdzie w twym ekwipażu
Moja małżonka zbiegła ukochana?

DOKTOR.

Wnet się pan dowiesz; ale tego pana
To nic nie obchodzi;—a więc może raczy...

HR. ALFRED (podchwytując).

S'en aller? n'est-ce pas? sługa uniżony!
(zabiera się do wyjścia).

ARTUR.

O nie, mój hrabio, proszę, zostań raczój;
Niech się nie lęka pan takiego świadka,
Jam go zapoznał już z hańbą méj żony.

DOKTOR.

Mała omyłka:— chciałeś pan rzec — „z własną.”

ARTUR.

Z własną? *sapristi?* cóż to za zagadka?!

DOKTOR.

To mi się zdaje rzeczą nader jasną:
Mężczyzna, którym własna żona gardzi,
W niezbyt pochlebném położeniu bywa.

ARTUR.

Pan mi ubliżasz!

DOKTOR.

Tak to pan nazywa?

Ja prawdę mówię.

ARTUR (n. s.).

*Mais comme ils sont hardzi
Ces petits gens!* gbury! w oczy prawdę ówika!

(głośno).

Sublime! paradnie! to mi polemika?

DOKTOR.

Krótko rzecz kończąc, przybyłem do pana
Upoważniony przez panią Helenę,
Bym mu oznajmił, że na zawsze zrywa
Węzły z nim wszelkie.

ARTUR (drwiąco).

Pewno ma migrenę,
Chce radykalnie być wykurowana.

DOKTOR (zimno).

Wiem tylko tyle, że jest nieszczęśliwa.

HR. ALFRED (z ironią).

Doktor w filantropię bawi się czasami.

DOKTOR (mierząc go wzgardliwym wzrokiem).
A czasem wzdargę dając pełnemi piersiami!

HR. ALFRED (n. s.).

Il est arrogant!

ARTUR.

Ależ mój Doktorze,
Jakąż grasz rolę?

Ławka mój własny.
HR. ALFRED (półgłosem).

Il est laconique!

ARTUR.

Lecz dla mnie nie jasną.

DOKTOR.

Być może! być może!

ARTUR.

Cenilem dotąd pana, ale dzisiaj widzę...

DOKTOR.

Za przeszłość dzięki składam, ale z dzisiaj szydę.

HR. ALFRED (n. s.).

C'est un mal élevé!

(głośno):

Żegnam, żegnam panów.

(wychodzi).

JAN (za drzwiami).

Idź do stu szatanów!

ARTUR.

Ale wreszcie Doktorze, co to wszystko znaczy?

DOKTOR.

Sądzę, że to sumienie panu wytłumaczy.

ARTUR.

I cóżem jej przewinił? Wypadek okropny!

DOKTOR.

Czy tak panu żal żony?

ARTUR.

Ale cóż na to świat powie? Świat tak pochopny
Do obmowy, oszczerstwa!...

DOKTOR.

Jeżeli o to idzie, przybywam z pociechą:
Żonę pańską umieścim pod uczciwą strzechą,
Która będzie puklerzem przeciwko potwarzy,
Pod którą, nikt się na nią targnąć nie odważy.
Z własnej tam swojej pracy utrzymać się pragnie:
Zawód nauczycielski dla siebie obierze;
Świat ją zacy najpewniej szacunkiem okoli,
A potwarz, choć i syknie jak nędzny gad w bagnie,
Dotrzeć jej nie zdoła. Czyś uspokojony?

ARTUR.

Lecz świat powie, że byłem tyranem dla żony!

DOKTOR.

Świat powie, że dla każdej zacniejszej kobiety
Życie z panem—męczarnie to Prometeowe!
Nic prawie wykształcenia, wiele zmysłowości,
I nic zgoła uczucia, tylko salonowe
Męty gdzieś na dnie serca:—oto twe zalety.
Na żądanie swęj matki, w wiosnianęj młodości
Dzieckiem szesnastoletniem, przyszłość, dziś zatrutą,
W ręce twe powierzyła. Mogłeś mieć anioła,
Mogłeś miłość ku sobie i szacunek wzbudzić;
Bo cóż z dziecka, rozumny człek zrobić nie zdoła?
Marmur to karraryjski,—byle mistrza dłuto;
Lecz tyś ją umiał tylko zdeptać, skazić, zbrudzić!
Tyś okrążył ją zgnilym, salonowym światem,
Modnisiów głupich rojem, próżnemi kobiety
Z pustką w sercu i głowie; wpajałeś w nią wiarę,
Że świat ten jest to gwiazda, że ludzkie zalety
Herb hrabiowski stanowi, że nie jest jej bratem
Kto się herbem nie szczyci. Spelniała swą czarę
I tłum twój modny bawiąc, na rozkazy pana
Niewolnica się śmiała! Służyła ci wiernie
Jako twa odaliska,—choć i łza w jej oku
Salonowo przez ciebie była wyszydzana.
Trzy lata w tego życia opleciona ciernie,

Wszystkie swoje katusze znosiła z odwagą,
Z meźtwem do podziwienia! Dziś, zadrzała ona,
Bo w całej swęj brzydocie rzeczywistość naga
Ujrzawszy,— dziś uczuła złamana, zraniona,
Że dłużej już nie wytrwa, bo padnie i skona!...
Oto com miał powiedzieć. Teraz, bądź zdrów panie!
(kłania się i wychodzi).

ARTUR (wzruszając ramionami).

Ha! *mais c'est original!* palnął mi kazanie!

JAN (wstrzymując w przedpokoju Doktora).

Proszę pana Doktora i mnie ztąd zabierać,
Bo ja tu nie zostanę. Miałżeby Jan stary
Kościska spracowane tutaj poniewierać?!
Chyba za ciężkie grzechy! chyba z Boskiej kary!
Bo to piekło prawdziwe! Niech mię pan prowadzi,
Ja pójdę pani służyć...

(ocierając łzy rękawem).

Niech mi nic nie płaci...

Ja nie chcę... ja nie wezmę... człek sobie poradzi...
A kiedyś to mi odda; Jan swego nie straci;
A nie odda, to Pan Bóg odda miłosierny!

DOKTOR (podając mu rękę).

Chodź, chodź mój ty pocziwczu! przyjacielu wierny!
(obaj wychodzą).

OBRAZ III.

(Rzęsisto oświecony salon—pary walczące—grupy rozmawiających dam i mężczyzn w kilku kątach salonu).

OSOBY: HENRYK. DOKTOR. HR. ALFRED. GOŚCIE BALOWI.

HENRYK (samotnie oparty o kolumnę).

Bawią się, cieszą, czas im lekko płynie!
Dość wiru walca, dość czaru spojżenia,
Ukradkowego dłoni uściśnienia,
I w tym szalonym odmiecie duch ginie!
W tym wirze tańca ileż serc zapłonie
Szaleń namiętnym, jak pogoda zmiennym!
Ileż nadziei rozgorzeje w łonie
I spopieleje pod wiewem płomiennym!
Nie jedna młoda, czysta pierś dziewicza
Zadrzy rozkosznym uczuciem przejęta;
Dziś u aniołów skrzydeł zapożycza
Dla marzeń, w niebo rwie się lotem śmiałym—
Jutro, zawodu ostrym grotem tknięta,
Pada...

DOKTOR (podchodząc).

Czy marzysz?

HENRYK (z gorzkim uśmiechem).

Dawno już przestałem.

DOKTOR.

Jakże znajdujesz świat naszej stolicy?

HENRYK.

Jak wszystkie światy: lekki, czczy i głupi;
Żywy na zewnątrz, a wewnątrznie trupi.

DOKTOR.

Nie tańczysz?

HENRYK.

Nigdy. Mnie się tanecznicy
Zdają pijaną zgrają, lub szaloną.

DOKTOR (biorąc go pod rękę).

A więc poważne pokażę ci grono.

HENRYK (z uśmiechem).

Chybaż na księżyc zechcesz mię prowadzić?

DOKTOR.

Zostaniem w sali. Patrz tam, jak natchnioną
Wiodą rozmowę: schył swe dumne czoło.

HENRYK.

Ach, damski meeting, to jest: babie koło.
Ciekawym! muszą o czemś mądrze radzić!

(podchodzą do grona żywo rozprawiających kobiet
i niespostrzeżeni stają opodal).

TRZYDZIESTOLETνια ROZWÓDKA.

A! mais c'est délicieux! Wszak Helena, wiecie
Opuściła męża, który tak ją kochał...
Un mari distingué...

STARA MATRONA.

A cóż Artur przecie?

STARA PANNA.

Il est désespéré! Biedaczek się zszochał!

DEWOTKA.

Postępek nikczemny! tém bardziej, że pono
Romansik—to świeży złego jest przyczyną.

KSIĘŻNA.

Być płochą,— być pojmuje; lecz nigdy szaloną!

ROZWÓDKA.

Być płochą—to ludzkie; ale Messalina...

STARA MATRONA.

To zgroza!

DEWOTKA.

Wszak przed nią drzwi zamknąć wypada?

CHÓR PAŃ.

Mais c'est tout naturel!

HENRYK (do Doktora).

Jakże zgodna rada!

Przeczułeś Doktorze, że czoło tu skłonię.
To meeting nie lada! Któż ta potępiana?
Pragnąłbym ją poznać, bo tak tu skalana
W areopagowem prześwietném tém gronie,
Że mi już to samo wskazuje widocznie,
Iż musi być wyższą nad swoje wyroczenie,
Że na nie ze wzgardą spoglądać ma prawo,
Zkąd ku niej zawiścią przejęte tak krwawą.

DOKTOR.

Nie mylisz się też wcale; dobrze mi jest znana;
Zawiść to tylko bluzga na nią wściekłą pianą.

HENRYK.

A więc, zamiast mię wodzić na rauty i bale
Próżne dla mnie powabu, nudne niesłuchanie,
Lepiej mię do niej prowadź; szaleńcy oboje
Wzajem się studyować będziem; a te panie
Niech sobie w oburzenia fanatycznym szale
I mnie wyklną, i zamkną przedemną drzwi swoje.

DOKTOR.

Ta pani nie przyjmuje u siebie nikogo!

HENRYK.

Odmawiasz więc mój prośbie?

DOKTOR.

Odmawiam, bo muszę.

HENRYK.

Lub dziwaczny twój opór Doktorze mój skruszę,
Lub się też tam dostanę jakąś inną drogą.

(W drugim rogu salonu, grono pań i mężczyzn).

MŁODA MEŻATKA.

Czy nie wiecie państwo...

HRABINA (przerywając).

Wiem o co chcesz pytać.

Wiem kto jest przedmiotem ciekawości twojej:

Wszak ten, co z Doktorem na uboczu stoi?

MEŻATKA.

Właśnie.

HRABINA (półgłosem).

Czy ma nowy romansik zaświtać?

MEŻATKA.

Que vous êtes méchante! Wszak to incognito
Z ponurą boleścią na licach wrytą
Wszystkich zaciekawia, wszyscy patrzą na nie.

HRABINA (ze złośliwym uśmiechem).

To też ciekawości twój wcale nie ganię.

MŁODA WDÓWKA.

Mais il est attrayant! a straszny zarazem!

HRABINA (półgłosem).

Lecz miłym być może nie dla jednej wdowy.

PANNA NA WYDANIU.

Piękny grecki posąg!

HRABINA.

Posąg zagadkowy.

MŁODA PANIENKA.

On musi być zimnym, lodowatym głazem.

MEŻATKA (z kokieteryą).

I glazy topnieją; — ognia tylko trzeba!

STARA PANNA.

Plomyczka uczucia!... tego ognia z nieba!...

DANDYS.

Tego, co ukradziony był przez Prometeja?

MEŻATKA (śmiejąc się).

O nie! tego raczêj, co nim z swego łona
Tchnęła, z morskiej piany bogini zrodzona!

HRABINA.

Takiego ci nie brak — dobra więc nadzieja.

HR. ALFRED (podchodząc).

Słyszę, że się dyskurs nowicyusza tyczy,
Którego cny Doktor wpośród nas wprowadza.
Si vous êtes bien curieuses...

MEŻATKA.

O nieoceniony!

HR. ALFRED.

Ja, czy téz ów posąg? Jak pani się zdradza!

PANNA.

Mówże hrabio prędzej! nie bądź tajemniczy.

HRABINA (z przekąsem).

Hrabia wie o wszystkiém — znamy go z téj strony.

HR. ALFRED.

Wiem, i powiem paniom, że posąg żonaty.

PANIE I PANNY.

Żonaty?....

MEŻATKA.

To fraszka!

HR. ALFRED.

Zdradziła go żona.

MEŻATKA.

Tém lepiej.

MŁODA WDÓWKA.

Zdradziła! tak piękny!... szalona!

STARA PANNA.

Czy boleje?

HR. ALFRED.

Nie wiem; wiem że stare graty
W księgarniach kupuje, że nie jest ciekawy
Salonów, towarzystw, ni pięknych pań lica;
Że w księgach nurtuje, że wiecznie ponury,
Jakby tajemnicą jakąś osłonięty...

HRABINA (drwiąco).

Zapewne w dodatku wzrok utapia w chmury,
Gdy błądzi samotny, szukając księżycy.

MEŻATKA (u. s.).

Ach, język przeklęty!

HR. ALFRED.

Z jednym tym Doktorem rad tylko przebywa;
Nikt tu jego nie zna, on nie zna nikogo.

MEŻATKA.

Na bal jakaż gwiazda wwiiodła go szczęśliwa?

HR. ALFRED.

Nie gwiazda, lecz Doktor.

HRABINA.

On gwiazdą złowrogą?

MEŻATKA.

Czemuż?

HRABINA.

Bo niektóre zbyt olśnione oczy.

MŁODA WDÓWKA.

Może to je tylko łza współczucia mroczy.

HR. ALFRED.

Et de Madame Hélène connaître vous l'aventure?

PANIE I PANNY.

O znamy!

DEWOTKA.

Jednakże jeszcześmy ciekawe
Cośby więcej slyszec.

HRABIA.

Znam dobrze tę sprawę.
Je viens un beau matin chez mon ami Artur,
I raptem zastaję tam okropne sceny:
Drzwi poroztwierane, rozrzucone rzeczy,
Na podłodze wszystkie klejnoty Heleny,
Słudzy rozproszeni, biedny Artur beczy,
Une aventure tragique! Staję zadziwiony,
Wtém Artur rzekł do mnie: „Nie mam, nie mam żony!”
— „Czy umarła?” — pytam: — „Sromotnie uciekła!” —
Et lui il l'aimait tant! Wtém jak szatan z piekła
Spada na nas Doktor, i nieprzyzwoicie
Wnet wyrzutów czyni Arturowi krocie
Twierdząc, że on swojej żonie zatrul życie...

HRABINA (przerywając z oburzeniem):

Tęj żonie cackanej, urodzonej w błocie,
Z którego ją dźwignął, której dał nazwisko,
A z niém takie piękne w świecie stanowisko!
Lecz dobrze tak! dobrze! innym ztąd nauka,
Że biada, kto związków niestosownych szuka
Z kimś, co odeń niższy swoim urodzeniem!

MEŻATKA (cicho do sąsiadki).

Hrabina w tej chwili pod mitry wrażeniem.

SĄSIADKA.

Czemu?

Miłość i Śeń.

4

MĘŻATKA (jak przedtém).

Bo księżę dla niej żony zaniedbuje,
A hrabia pono z księżną pajęczynę snuje.

SĄSIADKA.

Ciekawam, kto w nią wpadnie.

HRABINA.

Kończ hrabio Alfredzie.

HR. ALFRED (dumnie).

Gdy lada jakiś Doktor rej gdzie w domu wiedzie,
To ja wychodzę ztamtąd: tam miejsce nie moje.

HRABINA.

Że my też przyjmujemy na salony swoje
Lada jakichś Doktorów!

DANDYS.

Ha! bo dziś niestety!
Głupia moda wyniosła rozumu zalety
Wyżej nad sławę rodu i krwi dostojęństwo!

HRABINA.

O, jakże nizko spadło nasze społeczeństwo!

OBRAZ IV.

(Gustownie umeblowany niewielki salonik Heleny).

OSOBY: HELENA, DOKTOR, HENRYK.

SCENA 1.

Helena.—Doktor.

DOKTOR (smutno).

Upadłaś pani w walce; mówię ci to szczerze,
Bom przyjaciel twój stary, bo mą powinnością
Wstrzymać cię nad przepaścią, w którą zaślepiona
Pędzisz szybko, twą grzeszną tam gnana miłością,
Sumienie swe i cześć swą niosąc jęj w ofierze.

HELENA.

Ja go kocham Doktorze! Miłość ma szalona
Nie zna głosu rozsądku, ni względów dla ludzi!
Nie zna granic! Potężna, a jak burza dzika
Wskroś istotę przejmuje, wskroś duszę przenika,
I nowe tworzy światy, nowe czucia budzi!

DOKTOR (surowo).

Miłość grzeszna—to pani!

4*

HELENA.

Tak jasna, tak czysta,
Jak jutrenka poranna! Święta, promienista
Modlitwą mą jest dzisiaj: mą łzą, mojem tchnieniem,
Mém dzisiaj, mojem jutrem, wiecznością, zbawieniem!

(po chwili).

Raz pierwszy ukochałam, raz na całe życie,
Raz pierwszy bez boleści czuję serca bicie;
Raz pierwszy noc sieroctwa jutrznią szczęścia dnieje,
Co do modłów mię budzi i wskrzesza nadzieję!
Mamże deskę zbawienia tę wypuścić z ręki,
By znów w mrok się pogrążyć rozpaczy i męki?!...

DOKTOR.

Lepsza męka niż hańba!

HELENA.

Nie! takiej potęgi
Uczuć, wola nie złamie!... Jam wzgardziła mężem...

DOKTOR (przerywając).

Zbyt wątłym walczysz pani, w swęj sprawie orężem:
Przysięgłaś,—winnaś Bogu dochować przysięgi!
Choć dziś z mężem zerwałaś, jednak twoje śluby
Do zgonu z nim cię wiążą. Wiedzie cię do zguby
Niesumienny twój Henryk. Był katem swęj żony
Katując jęj uczucie, był katem dla siebie,
Bo dręczył się i miotał w pragnieniach szalony,
Szukając gdzieś tam szczęścia w wymarzoném niebie,

Gdy miał je tu na ziemi; stargał je zuchwale,
Zblocił i precz odrzucił w swych uniesień szale;
Zgubił żonę i siebie,— zgubi ciebie, pani!
Bo kto raz zgwałcił wszystko co dla ludzi święte,
Kto raz zuchwałą dłonią targnąć się ośmiela
Na to, co jest szacunkiem i czią osłonięte:
Ten nie zadrzy przed zbrodnią, aż zginie w otchłani!

HELENA (z wyrzutem).

Sądziłam, że ma w tobie Henryk przyjaciela.

DOKTOR.

Tak, życzliwym mu byłem; pragnąłem gorąco
Wyrwać z tego odnětu, który go pochłania,
Ku wyższym popchnąć celom duszę tę ognistą;
Sądziłem, że potrafię: próżne me starania.
Dziś, jam mu niepotrzebny, bo pochlebiająco
Przemawiać doń nie będę, tylko prawdę czystą,
Prawdę gorzką dać mogę; prawda w oczy kole,
Obraża,—więc zamilknąć i ustąpić wolę.

HELENA.

Bądź dla nas pobłażliwszym, kochany Doktorze!

DOKTOR.

Dla błędów, dla słabości jestem pobłażliwy:
Sam błędzę, każdy nieraz zbłądzi niespodzianie;
Nie ma tu ideałów,— a ten jest szczęśliwy,
Kto błędzącemu bratnią dłoń swą podać może,
Wytknie mu obowiązki i wskaże otchłanie,

W które pędzi na ślepo, na inną pchnie drogę.
Pobłażam błędom:—zbrodniom pobłażać nie mogę.

HELENA.

A więc w czystém uczuciu aż zbrodnie się mieści?

DOKTOR.

Uczucia nieprawego nie próbój obronić:
To zgwałcenie przysięgi, oszukaństwo, zdrada,
Maska, co samolubstwa nie zdoła osłonić.

HELENA.

Tyle mi dziś Doktorze przyczyniasz boleści!

DOKTOR.

Chcę ci większych oszczędzić. A więc moja rada
Wpłynąć na niego zacnie, zbudzić w nim sumienie,
Wskazać mu obowiązki zuchwale zdeptane:
Tęm mu dowieść miłości nie krwi, ale ducha.
Niech wraca w próg rodzinny, niech węzły stargane,
Węzły święte, znów spoi... W sercu czerp natchnienie,
Co masz jemu powiedzieć; a gdy nie usłucha,
To drzwi mu wtedy pokaż, bo nie wart względności!
Nie wart słowa dobrego, nietylko miłości!

HELENA.

O Doktorze! Doktorze! jak trudne zadanie!
Jak trudno własne piersi platać własną ręką.

I drgające w niej serce rozcinać na ćwierci,
I w każdej z nich osobną, straszną boleć męka,
I przechodząc za życia katuszy otchłanie
O śmierć wciąż Boga błagać i nie mieć tej śmierci!

DOKTOR (ze współczuciem podając jej rękę).

Odwagi!

(wychodzi).

HELENA (z rozpaczą).

Mam powiedzieć, by wracał do żony?!
Mam drzwi mu wtedy wskazać jeśli nie usłucha,
I pełnym wzgardy wzrokiem odepchnąć od siebie?!...
Wolę przykuć się raczej do hańby łańcucha
I wlec z nim taczkę życia przez wiek nieskończony,
Aż nas śmierć we wzgardzonej mogile zagrzebie!

(po chwili).

Dziwne, nowe uczucie w mej się piersi budzi:
Dotąd jam nie myślała o Henryka żonie.
Wszakże ona go kocha,—więc cierpi, rozpacza
Samotna, opuszczona! a ja żywię w łonie
Uczucie dla jej męża!... Ja mogę drwić z ludzi,
Ale drwić z łez boleści?!... O, Bóg nie przebacza
Tak rozmyślnie bliźniemu krzywdy wyrządzonej!
O tak! jam nie powinna Henryka wstrzymywać;
Tak! dowieść mu miłości nie krwi, ale ducha,
Węzły jego rodzinne spajać, nie rozrywać!
Ach, lecz czuję już, czuję w mej piersi szalonej,
Jak rozpacz jakaś straszna, bezdena wybucha!...

Wszak i ona rozpacza, i ona szaleje,...
A ja tu samolubną miłością popchnięta
Wraz ze szczęściem wydzieram jej nawet nadzieję,
Nikczemne na jej męża narzuciwszy pęta!...

SCENA 2.

Helena. — Henryk. — później Doktor.

HENRYK (wchodząc).

Tyś smutna, czy masz w oczach! co ci, o jedyna?

HELENA.

Smutna-m, bo sobą gardzę! Jakaś ciężka zmora
Pierś mi tłoczy, straszliwa, okropna jak zbrodnia!

HENRYK.

Heleno! mój aniele! co ci jest? czyś chora?

HELENA.

Sumienie mi obwija wyrzutów gadzina!...

(gorączkowo).

Lecz nie!... sumienia mego już zgasła pochodnia!

(obejmując szyję Henryka).

Tyś mój, wszak mój Henryku! Życie me kochane!
Wszak ty mię nie porzucisz?!... Słówko tylko... słowo
Daj mi jedno: Henryku!...

HENRYK (siadając u nóg Heleny).

Co ci, moja droga?

Od kiedyż wątpisz o mnie? Mówisz gorączkowo,
Jakby cierpienie na cię spadło niespodziane.
Zkąd te myśli złowrogie? zkąd ta nagła trwoga?

(kładzie głowę na kolanach Heleny).

Tak mi błogo, rozkosznie, tak dobrze przy tobie!
Tonąc wzrokiem w twém oku, z twą dłonią w mej dłoni
Chciałbym zasnąć na wieki w lubych marzeń toni!
Chciałbym, żeby wiek minął w jednej pieszczot dobie!

HELENA (po chwili cichości).

Henryku mój jedyny! wśród pieszczot rozkoszy
Nieraz mię niepojęta wskroś przejmuję trwoga;
To szczęście niespodziane, nagle, mnie przeraża...
Bo szczęście—to nieprawe!... Straszna pomsta Boga!...
Lękam się jęć Henryku! Myśl ta czarna płoszy
Każdą chwilkę uciechy,—wesele me zmraża!

HENRYK (szydęrczo).

Pomsta Boża, Heleno?!—Na wszystkie katusze,
Strachy Apokalipsy i szatanów grona,
I wszystkie gromy Boskie, zapisuję duszę
Za chwileczkę pieszczoty tu u twego łona!

HELENA.

O, nie bluźnij Henryku! Ja się lękam ciebie,
Gdy w szale swym namiętym urągasz i Bogu.

HENRYK.

Nie lękaj się jedyna, dziecinną twa trwoga;
Gdy chcesz zresztą, to mówić ci będę o niebie,
O Świętych, o kościele, o księżach, ambonie,
O Danta Beatryxie w niebieskiej koronie...
Lecz ja-m, droga, nie Dante!... ja cię pragnę pieścić
Taką tu oto ziemską, w twym prześlicznem ciele,
Z tym bujnym twym warkoczem, twym namiętnem okiem,
Pieścić cię, aż pieszczotą się twoją spopię! —
Szaleć tak, aż szaleństwa odmetę mię pochłonie!
Chcę zmysły me, uczucia, w jedno czucie wmieścić,
A czuciem tem — to szal nasz!...

(namiętnie):

Spalę cię mym wzrokiem!...

O droga! O jedyna!... Wszystko ci poświęcę...
I cześć mą i sumienie...

DOKTOR (niespostrzeżenie stając we drzwiach).

I chucie bydlęce!

HELENA (z oblakaniem).

Cha!... Cha!... Cha!...

HENRYK.

Ha! Przekleństwo!

DOKTOR.

Patrz na swą ofiarę!

Ktorato już w twym życiu? Czy widzisz? — szalona!

HENRYK.

Piekło! piekło! już zbrodni przepelnilem miarę!
(wybiega jak obłąkany).

HELENA.

Cha!... Cha!... Cha!...

DOKTOR (biorąc ją za puls).

Straci rozum, lub z boleści skona!

OBRAZ V.

*Rzecz dzieje się w majątku Maryi, we dwadzieścia lat
po opisanych wypadkach.*

OSOBY: HENRYK. — KSIĄDZ.

SCENA I.

(Noc, — na wzgórzu wpośród wsi dom Maryi. — Henryk przygnębiony laty, w ubogiem ubraniu, wchodzi w bramę podwórzową).

HENRYK.

Serce bije gwałtownie, jak niegdyś przed laty,
Gdy w progi tego domu uczuciem wiedziony
Wniósł miłości wyznanie...

(wstrzymując się).

Nic się nie zmieniło,
Wszystko tu po staremu; ja-m tylko zmieniony..
Wracam w progi rodzinne w przestępstwa bogaty!
Serce bije gwałtownie! Dawniej szczęściem było,
Dzisiaj, strasznym wyrzutem i trwogą nieznaną,
Jak przeczuciem złowieszczęm! Precz myśli złowroga!
Wszak Marya się zlituje nad mojemu łzami
I przebaczenie dla mnie wyjedna u Boga,
Modlitwą wstrzyma Boską rękę zagniewaną,
W piorun zbrojną, wzniesioną po nad zbrodniarzami!

(podchodzi ku drzwiom domu).

W oknach światła... czuwają o tak późnej dobie...
Może gwarzą wesoło... lub może w żalobie?...

(Otwiera nagle drzwi: w głębi widać rześisto oświetlony katafalk,
na nim kobiece zwłoki; przy katafalku klęczy młody kapłan,
zatopiony w modlitwie).

HENRYK (szybko przystępując do katafalka).

Ktoś tu umarł!... Kobieta!... Czyjeż to są zwłoki?...

(wpatrując się w oblicze zmarłej).

O, mój Boże! o Boże!... wszak ja się nie myślę...

To Marya! Ona! zmarła!... O straszne wyroki,

O straszna kara Boża za obłędu chwile!...

Lecz nie! nie! to nie ona! to tylko złudzenie!

(przypatrując się pilnie, i z rozpaczą chwytając się
za głowę).

Biada mi!... ach! to jawa a nie senne zmory!

Próżnom ufa! nie dla mnie święte przebaczenie!

Boże, Boże! o jakżeś w swojej pomście skory!

KSIĄDZ (przystępując do Henryka).

Ktoś ty starcze, co śmiesz tu słowy bluźnierczemi,
Znieważać śmiertelnego łoża świętą ciszę?

HENRYK.

Kto jestem?! ja kto jestem?! Na ojczystej ziemi
W progach domu własnego—„Kto jesteś?” dziś slysze!
„Kto jesteś?”—mię pytają, gromiąc jak bluźniercę,
Gdy mi u zwłok tych drogich z bólu pęka serce!
O Maryo, Maryo moja! takieżto spotyka
Powitanie biednego twojego Henryka?!

KSIĄDZ (rzucając się mu do nóg).

Henryka?!...—Ojcze! ojcze! tyżeśto?... O Boże!
Więcem jeszcze nie całkiem sierotą na świecie!...

HENRYK (podnosząc go).

Ojcem zowiesz mię księżę?! Ha! być-że to może?
Nie, nie! do nóg mi moje nie upadnie dziecię,
Dziecię Maryi biednej, zabitej przezemnie!
Jeśli mię nie przeklęła, jeśli żal jęj święty
Truń ją skrycie w przeczystym jęj sercu zamknięty,
To lzy jęj w duszę dziecka przenikły tajemnie,
I przez nie dziś mu pewno jawna ojca wina,
I nie miłość, lecz wzgarda przyjdzie mi od syna!

KSIĄDZ.

O mój ojcze, mój drogi! ochłoń w swęj rozpaczyl
Któż cię miał tu przeklinać? Za co płakać na cię?...

Płakała biedna matka, lecz po twojej stracie,
Wspominając na smutny żywot twój tułaczy;
Płakała, lecz z miłością, klęcząc ze mną razem
Przed Matki Przenajświętszej Bolesnej obrazem;
Płakała, jednej u Nięj błagając pociechy,
Twego szczęścia, choć zdala od rodzinnej strzechy.
Płakała, gdy już legła w śmiertelnej chorobie,
Żebrząc cudu, by mogła ujrzeć się przy tobie,
A twoje drogie imię razem z Chrystusowem
Było z tchnieniem ostatniem—jój ostatniem słowem.

Zkądże więc w mojem sercu niechęć albo wzgarda,
Gdy je matka uczyła miłości i cześci;
Gdy wiedząc jak twa dola żalosna i twarda,
Ja, z nią tęskniąc, z nią razem płakałem z boleści
Że, syn ojca takiego, na losy sieroty
Skazany, ni mądrości wzoru, ani cnoty,
Które mi cię tak hojnie obdarzyły nieba,
Od ciebie brać nie mogłem!...

HENRYK (ze łkaniem).

O święta, o cicha,
O przezysta ofiaro! Takięj mi potrzeba
Kary za moje zbrodnie! Szaleńcza ma pycha
W proch wdeptana anielską pokorą twęj duszy,
I w boleści straszliwej serce mi się kruszy!
O spojrz-że na mnie z nieba święty mój aniele!

(padając na twarz).

Oto na twarz u martwych twoich zwlok się ścielę,

Przebaczenia wzywając od ciebie i siły,
Bym zdołał przetrwać straszną owęj próby chwilę,
Gdy przed synem tę piękną zaslonę uchylę,
Jaką się dzięki tobie, zbrodnie me zakryły,
I gdy on, całej prawdy okropnej świadomy,
Wezwie na głowę ojca Bożej pomsty gromy!

KSIĄDZ.

Ojcze, ojcze! o jakże rozpacz twoja sroga!...
Modlmy się! ukojenie wymodlim u Boga.

(Kłęką przy ojcu i modlić się zaczyna; Henryk na twarz
upadłszy, łkaniem mu odpowiada).

SCENA 2.

(Gabinet Henryka, taki jak przed 20 laty.— Henryk przed portre-
tem Maryi, wpatruje się w niemój boleści).

HENRYK.

Więc od wczoraj robactwo toczy twoje ciało!...
A duch twój?!... Duch twój w niebie! Czyż niebo istnieje?
Istnieje mściciel tylko! ten Bóg zagniewany!...
Cóż począć występniemu, gdy nawet nadzieję
Zawistny los mu wydarł?! Cóż mu pozostało?!
Chyba stargać znikome, cielesne kajdany
I duch swój z nich wyzwolić, by wolny, wspaniały
Wzleciał do swęj ojczyzny,—potężny, wszechwiedny!...
Lecz gdzież jego ojczyzna? czém duch nasz sam w sobie?
Napróżno pytam siebie! bo ten mózg nasz biedny

Tak pyszny tu na ziemi, tak tu pełen chwały
Wszak gnije, wszak się robactwa staje pastwą w grobie!
A wszak on źródłem myśli! Gdzież więc myśl ucieka?
Gdzie duch się ów podziewa w minucie konania?
Myśl, uczucie, pojęcie,— czy są wynikami
Krażenia krwi w tętnicach i nerwów działania;
Czy też duch jest czynnikiem w ustroju człowieka?!
Lecz napróżno obarczam myśl mą zadaniami,
Nad rozwiązaniem których wieki się biedziły
I zero nam, w wynikach trudów, zostawiły!

(po chwili milczenia).

Ha! znów poszła zwykłemi myśl zuchwała tory!
Znowu pędzi, wzburzona, rozpaczy pustynią!
Dlaczegoż nie mam w sercu tej wiary, pokory,
Co prostaczków na ziemi szczęśliwemi czynią?!...
Prostaczków?... tak... A Marya? a mój syn? Zaiste,
Snać jest mądrość prawdziwsza nad mądrość książkową,
Snać serce ukorzone, bogobojne, czyste
Prędzej niż dumny rozum znajdzie prawdy słowo!...
A moje?... czyż na wieki namiętności męty
Skalały je? Czyż poryw taki wzniosły, święty,
Jak ów, który mię na twarz przy jej zwłokach rzucił,
Nie odnowi się nigdy?!... O, gdyby mi wrócił!
Gdyby częściej mą istność tak wstrząsał do głębi,
Możebym z czasem nabył prostoty gołębięj,
I wierzył, i ukochał, i łez rzewnych zdroje
Wylewając, w nich obmył z kału serce swoje!

(zegar bije godzinę).

Dziesiąta... Lada chwila syn przedemną stanie...
Straszna chwila! Mam zbrodni swych zrobić wyznanie,
Mam mu rzec: patrz! twój ojciec kochany, wielbiony,
Coś chciał odeń się uczyć mądrości i cnoty,
To tyran, to zabójca twój matki, swój żony,
To stek najostatniejszej hańby i sromoty!
Niech mię zna, niech mię sądzi! Lepsza wzdarda szczera
Niż cześć niezasłużona, którą w mego syna
Świętém kłamstwem wpoila Marya ma jedyna,
Nikczemnika ubrawszy w laury bohatera!
O gdybyż one mogły zostać na mój skroni!
Byłażby większa rozkosz albo czystsza chwala?
Lecz duma i sumienie zarówno mi broni
Nosić je! Niech więc na jaw wyjdzie prawda cała!
Tak! i sobiem to winien i drogiej pamięci
Biednej Maryi,— niech syn nasz pozna nas oboje;
Niechaj przeklnie i wzdardzi mną za zbrodnie moje,
Za męczeństwo i cnotę ją niechaj uświęci!

(wchodzi) KSIĄDZ.

Kazałeś, więc się stawię, ojczy mój kochany!
Usłyszć smutne dzieje twój wygnania
Z duszy pragnę; lecz miłość synowska mi wzbrania
G'woli chlubie swęj, jątrzyć twego serca rany.

HENRYK.

G'woli chlubie!... O biedny, biedny ty mój synu!
Nie chluba, tylko żalem duszę twą napoje,

Bo hańby, a nie chwały pełne życie moje,
Bom dziś godny pręgieryza, ale nie wawrzynu!
Słuchaj więc. Wielem myślał i czytał za młodu,
Lecz z ksiąg czerpałem tylko męty, bo niewiarę,
I nie mogąc nasycić duchowego głodu,
Za zmysłowych rozkoszy pochwycełem czarę...
Aż poznałem twą matkę. Młodziutka, niewinna,
Zdała mi się być gwiazdką w burzy rozhukanej,
Która wrzała w mej piersi wirem szału rwanęj.
W obec mego zwątpienia jej wiara dziecinna,
W obec mej namiętności jej czystość dziewicza,
Czar poezyi w jej całej postaci rozlany,
Jakaś smętność wiejąca z pięknego oblicza,
Podbiły mię. Kochałem i byłem kochany.
Kochałem ją tém silniej, żem ją widział wyższą
Nad znane mi kobiety, wyższą i nademnie;
I szczęście rozjaśniło mego życia ciemnie,
I dusza się ujrzała niby niebios bliższą;
Lecz, niestety, na krótko szczęście to starczyło!
Zgaśł w sercu święty płomień, a nowe pragnienia
Zawrzały w niem z gwałtowną, nieprzepartą siłą!
Rozpacz mię ogarnęła! Lecz duma wrodzona,
Poczucie obowiązku, przysięgi wspomnienia
Zniewoliły mię walczyć, i walki się jąłem...
Walczyłem, aż zabrakło sił! Ślubne kajdany
Ciężyły mi nieznośnie! Milczałem, lecz ona
Przeczuła straszną prawdę; krwawy cios zadany
Zniosła z sercem niezłomnem, i z pogodnem czołem

„Idź w świat!” rzekła mi czule. Żądza rozogniona,
Pragnienie burz, zamętu, coraz nowych wrażeń
Uniosło mię z rodziny na świata obszary.
Tyś wtedy miał dwa lata. Zgluszyłem niegodnie
Głos sumienia, by ścigać jakieś dzikie mary
Wybijałe wśród moich gorączkowych marzeń.
Odtąd me życie całe było stekiem zbrodni!
Gdziem wszedł, ból i nieszczęście hojną dłonią siałem!
Nie jedna łza przed Bogiem ciężko mię oskarża
I nie jedno przekleństwo dziś mię ze snu budzi!
Nie jedna pierś przezemnie w rozpacz się tarza
Niegdyś czysta,— zblocona méj rozpusty szalem,
Dziś, okryta sromotą, wzgardzona przez ludzi!

KSIĄDZ (z wielkiem wzruszeniem).

Przestań, ojcze, zaklinam!

HENRYK.

Słuchaj do ostatka!

Poznaj całą szkaradę duszy, którą—ć matka
Czcic i kochać kazala, a którą ze świętem
Oburzeniem odepchnąć winienes i wstrętem!

KSIĄDZ.

Ojcze, ojcze mój biedny! wszakżem ja tve dziecie,
Więc, jakkolwiek zbrodnicżem mogło być tve życie,
Nie sądzić cię, lecz płakać mi nad tobą trzeba,
I łaski, zmiłowania, dla cię wzywać z nieba.

Dla innych tyś występny, dla mnie—nieszczęśliwy.
Dość mi tego! Świętami z twym sercem ogniwy
Spojony, kochać ciebie będę, choć mię boli,
Że zagasły te cudne blaski aureoli,
W jakich mi dotąd twoje promieniały skronie!...
Ale Bożej litości nieprzebrane tonie,
Ale szczerą, serdeczną pokutą grzesznika
Radością, mówi Chrystus, anioły przenika...

HENRYK (z goryczą).

Pokuta?! Trzebaż jeszcze twardszej dyscypliny
Nad tę chłostę, przez jaką własne moje winy
Gnały mię bez ustanku?! Dosłuchaj mię, proszę,
I osądź. Opuściwszy rodzinne ognisko,
Rzuciłem się w występnej miłości rozkosze.
Poznałem drugą Maryę... mniejsza o nazwisko...
Nieszczęśliwa ofiara matczynej rachuby
Stargała nienawistne, oplakane śluby,
Uciekła z domu męża na nędzę i trudy,
Nie bacząc na sąd świata, i przez jego brudy
Przeszłaby nieskalana, jako anioł biały,
Gdyby się w złą godzinę nie spotkała ze mną;
Gdybym jęj nie ozionął namiętnemi szalą
I nie potracił w przepaść pohańbienia ciemną!
Upadła,—lecz upadkiem własnym przerażona,
Biedna, rozum straciła i... dziś w grobie ona!...
Umarła...

KSIĄDZ.

Dosyć, ojcze! Niech ci Bóg przebaczy...

HENRYK.

Sluchaj jeszcze! W niezmiernj boleści rozpaczy,
Smagany ostrym biczem mściwego sumienia,
Rzuciłem kraj rodzinny, by wśród obcych ludzi,
Obcy wszystkim, nieznanym, szukać zapomnienia
W naukach; lecz daremnie mój się umysł trudzi,
Daremnie dnie i nocy ksiąg przewracam stopy:
W sercu brzmią nieustannie rozpaczliwe głosy,
Sumienie wciąż mię chłoszcze, jak furja mściwa,
A z nauki nic zgoła! Skrzydły zwichniętymi
Duch naprózno w niebieskie sfery się porywa,
Raz wraz pada i płazem czolga się po ziemi,
I w Bogu tylko *fatum* niezblagane widzi,
I z wiary w nieśmiertelność, i sam z siebie szydzi!
Próżnia w nim, otchłań straszna, ciemna, niezgłębiona!
Rzekłem: może uczucie zapęlni ją nowe!?
I znowu wyciągnąłem do ludzi ramiona
I otworzyłem serca podwoje grobowe.
Lecz nie wstąpił w nie jasny Anioł Zmartwychwstania!
Nie dla mnie była przyjaźń ani miłość święta!
Obca mi już duchowych rozkoszy ponęta
I chuć tylko bydłęca zmysły me pochłania.
Aż i w tym przyszedł przesyt i życie mi zbrzydło!
Więc, kiedy ni w kielichu utopić pamięci,
Ni oszaleć nie mogę, a krwawe straszydło—

Sumienie, wciąż mię chłoscze;—serdecznym uściskiem
Pochwycilem ostatnią deskę wybawienia:
Broń palną!—w nięj nadzieję szczęścia,—znicestwienia!
Jużem czoła nią dotknął, kiedy nagłym błyskiem
Myśl padła na dalekie domowe zacisze
I — dziwy!— zdało mi się, że wyraźnie słyszę
Ostatnie mojej biednej Maryi pożeganie:
„Gdy ujrzysz pustkę wkoło, gdy ci sił niestanie,
Wróc pod strzechę domową, zboląły, zraniony,
Rozbitek w pośród życia burzliwych kolei:
Tu ogrzejesz pierś skrzeplą, zaczerpniesz nadziei,
I znajdziesz dawną miłość w sercu twojej żony!”
Zadrsałem! broń wypadła z samobójczej ręki
I mózgiem mym zawładły gorączkowe szały,
I słowa przypomniane cudem mi się zdaly;
Jak dziecko uwierzyłem, że to głos był Boży,
Co duszę zrozpaczoną zawracał z bezdroży!
„Wróć! wróć!” jęknąłem, i pełen tęsknoty,
Rad byłbym sokolemi ku wam pomknąć loty!
Więc rzuciwszy kraj obcy, biegłem bez wytchnienia
W święte progi domowe, do dziecka, do żony,
I naniebnie opuszczonych przezemnie, spragniony
Nie szczęścia, nie wesela, ale przebaczenia,
A z nióm trochy spokoju... Wracam, i ze drżeniem
Zbliżam się w nocnej ciszy po pod domu ściany...
Chcę wejść rychlej i nie śmiem... Widzę światło w domu,
Serce bije gwałtowniej... zda mi się że znany
Słyszę głos twojej matki;—słucham z upojeniem,

Jak złodziej się podkradam zcicha, pokryjomu:
Wchodzę już... chcę się rzucić do nóg mej ofiary—
Widzę trupa!...

(Zasłania sobie oczy i po chwili milczenia woła z boleścią):

A ty mię do pokuty wolasz!!
I jakąż jeszcze większą dla mnie znaleźć zdołasz,
Po ciosach, których na mnie spadło już tak wiele?
Ludzie mię odepchnęli, niebo mię zdeptało;
Gdzie stąpię, tam się czarna śmierć przedemną ściele,
I dzika rozpacz miota duszą mą zbolałą!...

KSIĄDZ.

Wiary, ojcze! Bóg zawsze do litości gotów!

HENRYK.

Wiary! wolasz; o dajże, dajże mi tej wiary!
Niech uwierzę, że w Boskich szeregu przymiotów,
(Jeśli jest Bóg) jest litość! Dotąd tylko kary
Widzę; czuję i wierzę tylko w pomstę Boga!
Zerwałem się ku niebu, lecz dłoń Jego sroga
W piekło mię potraciła najstraszliwszym ciosem,
W chwili, kiedy wspomnienia podniecony głosem
Do żalu i do skruchy gotów duch już miałem,
Gdym był gotów w pokuty wierzyć tajemnicę,
I jak mnich średniowieczny, nad swem własnym ciałem
Pastwić się, siec je do krwi, odziać w włosiennicę,
Chleb pożywać z popiołem, cierniem usłać łożę,

I modlić się, i płakać, żywcem zagrzebany
Jak w grobie, między czterema mrocznej celi ściany!...
Lecz minął już ten zapal i wrócić nie może!
Ostatnie już w mem sercu skonało uczucie,
A zimny rozum widzi szaleństwo w pokucie.

KSIĄDZ.

Ach! to też cię rozumu zaślepila pycha
Biedny, biedny mój ojcze! Bóg cię nie odpycha,
On z nieba sam do ciebie wyciąga ramiona
I cudem twoję duszę wzywa ku zbawieniu;
Cudem głos ci podaje, jakim uwielbiona
Matka moja w ostatniem na cię wola tchnieniu,
Byś śpieszył zająć miejsce zkąd ma odejść ona,
Byś dalej wiódł to święte miłosierdzia dzieło,
Co w jej sercu anielskiem swój początek wzięło.
Mówisz, ojcze, żeś znalazł tylko martwe zwłoki?
O nie! niech się rozwidnią twój rozpaczy mroki,
A duszę tu jej ujrzysz żywą i przytomną
W sercu tych, co jej nigdy, nigdy nie zapomną;
Co po niej dzisiaj płaczą łzami sierocemi,
Co im była aniołem litości na ziemi!
Zajrzyj głębiej w wyroków wszechmocnych tajniki,
A w hymn chwały się zmieni głos bluźnierstwa dziki!
Uniesiony wrzącemi namiętności prądy,
Stargałeś święte śluby; ale Bóg twą żonę
Nauczył jak uleczyć swe serce zranione,
I kornie błogosławić Jego święte sądy,

I złe w dobre obrócił. Bo i któż odpowie
Azali szał ten dziki co-é w sercu i głowie
Wrzał tak długo w tulactwie po szerokim świecie,
Nie oddziałalby w domu i na twoje dziecko?
Żalibym i ja, wzrósłszy po twojemi wpływy,
Nie był, jak ty, występny, jak ty, nieszczęśliwy?
Dziś czysty, serce Bogu dawszy na ofiarę,
Zbrojny w miłość, nadzieję i niezłomną wiarę,
Mogę śmiało ku niebu podnieść swe oblicze
I tłumaczyć ci Boskie sprawy tajemnicze.
Głos Maryi konającej doszedł cię z daleka,
Aby broń ci wytrącić z samobójczej dłoni,
I tutaj cię przywołać; więc gdyś wrócił do niej,
To uwierz, że jej wierny duch na ciebie czeka
Na tej ziemi rodzinnej z dobrych czynów plonem,
I tam w niebie z modlitwą, sercem ukorzonem.
Patrzże ojcze, jak łatwa twój pokuty droga!
Nie ostra włosiennica, ani chłosta sroga,
Nie zamknięcie klasztorne, nie popiół, ni ciernie,
Tylko praca dla bliźnich na ojczystej grzędzie;
A Pan Bóg na cię z nieba spojrzy miłosiernie,
I dusza twojej Maryi drogięj z tobą będzie!
Do pracy więc, mój ojcze! Otrzyj lzy bliźniemu,
Wspomóż nędzę, przygarnij sierotę i wdowę,
Błądzącego upomnij, daj w bólu pociechę,
W zwątpiałego włój wiarę, a z nią życie nowe,
Pomoc, wsparcie i radę daj uciśnionemu,

Błogosławieństwo ludzkie wejdzie pod twą strzechę,
A z niém, ojcze, i Boskie.

HENRYK (ze smutkiem).

Zapóźno, mój synu!
Złamany nieszczęściami, niezdolny-m do czynu,
Do ofiary! Cóż po tém gdy rzucę jałmużnę
Zimną ręką, pocieszę ostyglami usta,
Gdy serce odretwiałe dziś litości próżne,
A w słowie, pustki ducha tylko odgłos pusty?!

KSIĄDZ (klękając przed nim).

Ojcze, ojcze! odwagi, siły, dobrej woli!
W świętej pracy ostygłe serce się rozgrzeje,
I próżnia się żałobna zapełni powoli
Dobrych czynów wspomnieniem! Ojcze! miej nadzieję!

HENRYK (podnosząc go).

Ha! spróbuję, gdy życia na to jeszcze staniel...
Pocziwe twe, serdeczne, pełne wiary słowo
Przenikło w moich piersi dziedzinę grobową.
Módl się!—może wymodlisz dla mnie zmartwychwstanie!

KSIĄDZ (wznosząc oczy ku niebu).

Na twegoś wejrzał sługę, dzięki Ci, o Panie!

Koniec.

INSTYTUT
BADAŃ LITERACKICH PAN
BIBLIOTEKA
00-330 Warszawa, ul. Nowy Świat
Tel. 25-68-63



